

„IUVENTUS CHRISTIANA”

ORGAN STOWARZYSZENIA I ZWIĄZKU SENJORÓW KATOLICKIEJ
MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

„IUVENTUS CHRISTIANA”

MIESIĘCZNIK

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY — IRENA JÓZEFOWICZOWA
WYDAWCA — KAROL POPRZECKI

KOMITET REDAKCYJNY:

H. CZEPLIŃSKA, H. JANKOWSKA, Z. LUKASZEWICZÓWNA, W. NADOLSKA

OD REDAKCJI

Numer ten odbiega od dotychczasowego typu tego pisma, jest bowiem wypełniony artykułami członków różnych kół. Wychodzi on nieco poza zwykłe ramy organu ściśle wewnętrznego ze względu na zbliżające się wielkie doroczne święto naszego Stowarzyszenia.

Jednocześnie pragniemy za pośrednictwem tego numeru zapoznać choć pobieżnie tegorocznych maturzystów z pracą i charakterem naszej organizacji.

W A R S Z A W A — P O Z N A Ń — W I L N O

ROK V

MAJ — 1933

Nr. 5

Z rozważań nad Ewangelią.

„Na świecie ucisk mieć będziecie: ale ufajcie, jam zwyciężył świat”. (Jan XVI 33).

Dlaczego? — Dlaczego my, którzy nosimy to imię najpiękniejsze ze wszystkich i najdumniejsze na ziemi i w niebie, imię Chrześcijan — na leżących do Chrystusa, dlaczego nie idziemy drogami życia śpiewając? Dlaczego nie śmiejemy się dźwięcznym, z głębi serca idącym śmiechem ludzi bardzo szczęśliwych, nie wyciągamy ramion ku słońcu ruchem wyzwolenia, a przede wszystkim nie śpiewamy pieśni wdzięczności bez miary, radości i zwycięstwa tak rozgłośnie, aby cały świat nas słyszał?

Jesteśmy poza nielicznymi wyjątkami ludźmi smutnymi, z rezygnacją wobec życia, w defensywie wobec nieprzyjaciela; niesiemy nasze ideały w świat, jak coś ogromnie głębokiego i cennego, ale jednak bez szans rozwiązania największych konfliktów życia, o ile naturalnie nie szukamy rozwiązania poza ewangelią; niesiemy je, jak umiłowany skarb pociechy, ale nie jak zwycięski sztandar. I można mieć obawę, czy, gdyby się zjawiał między nami ktoś, co jak św. Franciszek z Assyżu straciłby wszystko i szedł z pieśnią na ustach, jako herold królewski, nie wołalibyśmy za nim, jak wołało społeczeństwo trzynastego wieku „szalencie!”.

Popełniamy wielki błąd, zatracamy ze spuścizny ewangelijnej wartości nieskończone, bez których niema pełnej Chrystusowej prawdy, pełnego Chrystusowego życia. Wiemy dobrze z doświadczenia, w każdej dziedzinie, że tylko ci, co wierzą w zwycięstwo, zwyciężają naprawdę, że tylko ci, którzy aż do końca, z niezachwianą konsekwencją po zwycięstwo sięgają, zdołają je osiągnąć. Więc czyżby Chrystus, znający najgłębsze prawa ludzkiej natury, nie pozostawił nam żadnych podstaw do nadziei, czyż nie jest to raczej nasza własna ślepota? Zagrzebani w warunki naszego ziemskiego bytowania, mamy ogromną trudność wyczuwania realności rządzących nami praw nie z tego świata, realności praw ducha obok praw materji. I dlatego nie możemy też wyczuć tego najwyższego prawa: zwycięstwa poprzez mękę, zmartwychwstania poprzez krzyż; nie możemy w umęczonym, rozpiętym na drzewie krzyżowym Baranku Bożym uwielbiać Boga Potęgi i Mocy. Ale jednak musimy to zrozumieć i przeżyć.

Ewangelią nie robi nam nigdy złudzeń: przemawia do nas zwykłe słowami obnażonymi i twardymi, jak życie samo, na marzenia i utopje niema tam miejsca. Ileż w niej słów o ludzkiej boleści, o cierpieniu niedołączonych, chorobą złamanych ciał, które choć nieraz, w godzinach wielkiej słabości, miłosiernie Chrystus zdejmuje, jednak odwrócić od nas nie obiecuje nam nigdy; o cierpieniu serc i dusz, o wżgardzie, nienawiści, prześladowaniach, o których ze specjalnem podkreśleniem mówi Chrystus, że będą udziałem Jego wiernych; o wielkich prorokowanych cierpieniach społecznych, klęskach i wojnach, o których myśl sama była tak bolesna, że aż Chrystus zapłakał — nie mówiąc już o krwawych śladach wiodących na Golgotę.

„Na świecie ucisk mieć będziecie”, stwierdzenie krótkie, proste, nieodwołalne i niema człowieka, któryby go w ten, czy inny sposób na sobie nie doświadczył. I właśnie dzięki temu doświadczeniu, dzięki cierpieniu, tak dobrze znanemu każdemu z nas, zbyt się zapatrujemy na tę część prawdy, na to zrozumienie naszej udreki, dążenie z pociechą i otuchą, a zapominamy o tym sensie tajemniczym, jaki się pod cierpieniem ukrywa, o pewności zwycięstwa zawartej w słowach o realności nadziemskiej.

Zwycięstwo Chrystusowe nad światem to przemiana, odrodzenie dusz; zwycięstwo Chrystusowe to przetwarzanie przez wieki, przy pomocy swojego Kościoła, serc ludzkich słabych, upadłych, zbrodniczych, na serca czyste, mocne i święte; zwycięstwo Chrystusowe to budowanie podniebnego Królestwa na tej ziemi z dusz ludzkich, pogrążonych w szarym, mroźnym trudzie a cierpliwych, walczących a pełnych miłości, umęczonych a promiennych. Sprawy tego świata, wypadki naszego życia to tylko tło, na którym ma się zarysować Boża budowla, to kuźnia, w której się wytapia i wykuwa potrzebny materiał. Te ziemskie sprawy są według praw ducha odwrotnie proporcjonalne do spraw niebieskich: zwycięstwo, wyrosłe na najgłębszym ucisku i na ostatniej przegranej. Nie my zwyciężamy, zwycięża w nas i przez nas moc Boża, władza Chrystusa Boga-Człowieka nad ludzkością, o ile się jej w zupełności oddamy. Należymy do Chrystusa w naszym życiu i naszych dziełach i Chrystus nie może nas zawieść. „Ufajcie, jam zwyciężył świat”.

Nauczmy się pod tym kątem widzenia ujmować codzienne nasze trudy, walki i cierpienia, cały ucisk świata, nietylko z bierną uległością i rezygnacją, jak coś, co jest konieczne, a jednak jest tak wielką przeszkodą w realizacji naszych najpiękniejszych programów, ale jak rozwiązanie w nas olbrzymich twórczych możliwości dla sił Bożych, jak na zwycięskie pole walki ducha.

Nauczmy się wszyscy śpiewać triumfalną pieśń rzymskich męczenników, którzy zakładali fundamenty Kościoła: „Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat!”.

Zofja Teresa Plisowska

Chrystologia Kasprowicza i problem Golgoty¹⁾.

Kasprowicza to wielki pieśniarz cierpienia. Umie on wczuć się w najtajniejsze, najskrytsze drgania bólu w sercu człowieka i umie wyrazić je słowem niezawodnem. Umie zapuścić się aż w otchłań nędzy Judasza i duszy stojącej na Sądzie Ostatecznym i potrafi odczuć niewypowiedzianą słodycz cierpienia na wyznach świętości i doskonałości. A z niemniejszym mistrzostwem maluje wloty i upadki śmiertelnika zwykłego, którego symbol przedstawił w Marji Egipcjance i w duszy-pokutnicy, bohaterce „Mojej pieśni wieczornej”.

¹⁾ Wyjątek z większej całości p. t.: „Świat przeżyć religijno-moralnych Jana Kasprowicza”.

Cierpienie jest skutkiem grzechu. Takie cierpienie trapi Judasza, duszę potępioną na dolinie Józefata, duszę pokutującą. Ale jest także całkiem inne, jest takie, które widzimy u św. Franciszka z Assyżu i przede wszystkim w Chrystusie. Tamto jest następstwem winy własnej, to — zadośćuczynieniem za zło cudze, odkupieniem grzechu innych. Spytamy się z zagadnieniem ofiary. Kasprowicz nie przeszedł obok niego obojętnie, choć nie zostawił w swych utworach żadnego wywodu filozoficznego na ten temat. Nie wstąpił w ślady Słowackiego, który z ofiary uczynił prawo i źródło postępu oraz podstawę całej etyki¹⁾. I w tym wypadku pozostał wierny swej naturze i swym skłonnościom: nie próbował odślaniać tajemnicy przy pomocy myśli poznawczej, lecz wolał szukać wyjaśnienia na drodze uczuciowego zgłębienia i prześwietlenia sprawy. Rozwiązania kwestji szukał już od młodości w ujęciu najwyższym, na płaszczyźnie Golgoty.

By zrozumieć, czym był problem Golgoty dla Kasprowicza, trzeba zdać sobie dokładnie sprawę ze stosunku poety do Chrystusa. Twórca „Pieśni biblijnych” nie mógł nie zwracać myśli i serca ku Zbawicielowi. Nie mógł z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że był naturą nawskroś religijną. Powtórę, że własna jego wielkość ciążyła ku tej wielkości największej, jaką zna ludzkość. Badania nad zagadnieniem chrystologii w literaturze nowoczesnej²⁾ wykazują, że właśnie najwięksi z pośród przedstawicieli modernizmu i jego prekursorów: Ryszard Wagner, Lew Tołstoj, Dostojewski, Selma Lagerlöf, Gerhard Hauptmann, Ibsen, Suderman, Oskar Wilde, Strindberg, Papini i inni kusili się o odtworzenie postaci Syna Człowieczego. Nie oparł się tej pokusie i Kasprowicz. Na kartach jego spuścizny poetyckiej błyszczą często imię Chrystusa, choć nie w każdym okresie równie często. Wystarczy wskazać szereg utworów przygodnych i okolicznościowych z okresu przed cyklem „Ginącemu światu”, których przedmiotem jest osoba lub nauka Zbawcy: „Oni i my”, „Drogi Krzyżowe”, „Chrystus”, „Narodzenie Chrystusowe”, „Bóg się rodzi”, „Z opłatkiem”, „Alleluja!”, „A kiedy zmartwychwstał”, „Chwila zadumy”. Golgocie poświęcony jest poemat „Na Wzgórzu Śmierci”. Później w „Hymnach” i w „Pieśni o Waligórze” mamy tylko wizje postaci Chrystusowej. W zbiorkach „Chwile” i „Księga ubogich” nie spotykamy ani wzmianki o Synu Bożym, ale w ostatnich dwóch książkach poeta powraca znów do Chrystusa.

Zastanawiając się nad pobudkami, które skłaniają pisarza do obrania za temat wypowiedzi artystycznych osoby Odkupiciela, Redlich trafnie zaznacza: „Tak z żarliwych przeżyć takiej godziny rodzi się w nim (artyście) pragnienie: ja muszę pisać o Nim. I wszyscy, którzy doznają tego przymusu, zapewniają nas, że On jest z nimi, że w Chrystusie odnajdują siebie, swoją sztukę, swój sposób myślenia i swoje jestestwo. Dlaczego nie mielibyśmy temu wierzyć? Wszak jaki jest człowiek, taki jest jego Chrystus. Ze sposobu, w jaki pisarze współcześni Go widzą, w jaki uj-

1) Pawlikowski J. G.: l. c. str. 38 i 39.

2) Univ.-Dozent P. Dr. Virgil Redlich O. S. B. (Seckau): „Das Christusproblem in der modernen schönen Literatur” w tygodniku „Schönere Zukunft”, Wiedeń Nr. Nr. 4, 5 i 6 z 26.X. i 2, 9.XI. 1930 r.

mują problem Chrystusa, można nietylko dowiedzieć się, czy przyznają się oni do Chrystusa, lecz wogóle można dokładnie poznać oblicze nowoczesnego człowieka. Bo oto ujawniają się jego rozterki i sprzeczności wewnętrzne, jego tęsknota społeczna i aspołeczne skłonności, jego dolegliwości życiowe i marzenia o ideale, jego dojrzałość do życia zbiorowego i jego właściwości narodowe i prawne, jego postulaty piękna i nieporadność obyczajowa, jego indywidualistyczna samowystarczalność i głęboki ból, że nie może być tym, kim chciałby być. Z nowoczesnego obrazu Chrystusa przemawia naturalistyczny, impresjonistyczny człowiek”. — Uwagi te niemal w całej rozciągłości dadzą się zastosować również i do Kasprowicza: jego Chrystus jest także refleksem jego własnych przeżyć. Grzymała Siedlecki zaznaczył¹⁾, że Kasprowicz pojmował postać Chrystusa z pogańska, jak Renan, jako najwzniolejszą postać, jaką kiedykolwiek wydała z siebie ludzkość. Tak, w młodzieńczej pieśni biblijnej „Na Wzgórzu Śmierci” Chrystus, przegrywający walkę z Lucyferem o świat, nie jest Bogiem-Logosem, nie jest drugą osobą Trójcy św., nie jest Synem Boga, równym Mu, co do istoty, lecz tylko jednym z Synów Bożych, tylko człowiekiem, najwzniolejszym, najświętszym wprawdzie, ale człowiekiem. Tego samego nie możnaby już powiedzieć z całą pewnością o Chrystusie z wierszy okolicznościowych, powstałych w latach najbliższych po napisaniu poematu biblijnego. Teza Redlicha: jaki jest artysta, taki jest jego Chrystus — sprawdza się w zupełności na Kasprowiczu. Zapalony społecznik w młodości ujmuje problemat Chrystusowy głównie z punktu widzenia stosunków między bogatymi i ubogimi. W wieku dojrzałym poemat „Na Wzgórzu Śmierci” przepaja tchnieniem najczystszej metafizyki, bo właśnie wtedy duszę jego pochłaniają prawdy najogólniejsze, najwyższe. Jest sam gorącym wielbicielem przyrody, więc i Chrystusowi swemu oprócz rysów ewangelicznych daje tę cechę umiłowania natury. W poemacie biblijnym (rozdział II Chrystus w Nazarecie) tak opisuje chwilę wytchnienia młodzieńczego Jezusa po pracy:

*A czas, jak potok, płynie rąco — płynie,
W warsztacie ojca, to u stóp Taboru,
Albo w zielonej, jordańskiej dolinie:*

*Gdyż często porwan melodją chóru,
W który się łączy wszystek płód przyrody,
Do cedrowego biegu nad Jordan boru.*

*I tutaj dumal ten marzyciel młody,
Wszystką swą duszą wsłuchany w poszumy
Lasu, w śpiew ptaków i szelesty wody.*

*I w takich chwilach, wśród takiej zadumy,
Rychło się cały w swym duchu przemienił,
Rychło rósł, wzrastał nad zwykłe rozumy:*

1) Adam Grzymała-Siedlecki: „Po śmierci Kasprowicza”, artykuł w „Kurjerze Warszawskim”

*Ten ptak, co nucił; las, co się zielenił;
Jordan, co jęczał sercem smętnej tali;
Kwiat, co się w blaskach słonecznych rumienił;*

*Tabor i Sulem, co w niebieskiej dali
Gubiły szczyt swój, jemu braćmi byli.*

Mając usposobienie burzliwe i przechodząc ciągle od wiary do zwątpienia i od rozpacz do radości, Kasproicz uwidocznił zmienność własnych nastrojów w obrazie swego Chrystusa. Poemat biblijny kończy się rozpaczem wołaniem Zbawiciela: „Boże mój! Boże! czemuś mnie opuścił!” — tak zresztą, jak poemat „Na Wzgórzu Śmierci” — i szyderczym, triumfalnym śmiechem Lucyfera, a napisany w tym samym mniej więcej czasie wiersz „Narodzenie Chrystusowe”, ma takie pełne wiary zakończenie:

Spieszcie i kończcie! ¹⁾ Krew wasza nie w stracie!

*Chrystus w jej kroplach, a Chrystus zwycięży,
Choć nie ma wilgnych kaźni i krwawych oręży!*

*I usłuchali, szli i zwyciężyli,
Już dzień zwycięża ciemną noc.*

Cokolwiek Kasproicz myślał w różnych porach życia o Bóstwie, lub człowieczeństwie Jezusa i o skuteczności Jego Ofiary, to jednak zawsze mówił o Nim ze czcią i miłością. Najwyższy i najtkliwszy wyraz owej miłości dał w ostatniej swej książce „Mój świat”, tym zbioru „pieśni na gęśliczkach i malowanek na szkłe”, gdzie w usta naiwnego starca, zakryśtanina Palicy, porządkującego kościół w dzień św. Jana Ewangelisty, włożył takie słowa swych własnych uczuć:

*Ale Ci jestem wdzięczny
Za Twoją grzeczność, o Panie,
Ze umiesz mnie, starowinie,
Okazać podziękowanie.
I to mówiący, odrazu
Do Jego się twarzy przytulę:
Jeszcze żadnego policzka
Nie całowałem tak czule.*

Niezmienna cześć i miłość dla Jezusa sprawiły, że z biegiem lat w pocie zrodziła się potrzeba głoszenia postulatów Chrystusowości człowieka. Pragnienie to znalazło swoje urzeczywistnienie artystyczne w Marcholcie, który pomyślany został na wzór człowieka-Chrystusa jako ten, co podjął trud i walkę o triumf ducha nad ciałem ²⁾.

Dopiero bliższe wejście w chrystologję poety i stwierdzenie najważniejszej jej cechy, polegającej na tem, że w obrazie Chrystusa od-

¹⁾ Wezwanie do głodnych Helotów.

²⁾ Por. Kołaczkowski Stefan: „Twórczość Jana Kasproicza”, Kraków, 1924; str. 146 i 147.

zwierciadliło się duchowe oblicze twórcy i najbardziej znamieny tego oblicza rys — ustawiczna zmienność usposobienia i nastrojów, dopiero to pozwoli zrozumieć należycie, na czem polega problemat Golgoty w twórczości autora „Ginącemu światu”. Jak on się przedstawia w „Chrystusie” i „Na Wzgórzu Śmierci”, wiemy z rozważań o Lucyferze. Jednakże te dwa utwory nie wyczerpują kwestji Golgoty. Jest ona poruszona również w „Marji Egipcjance” i w „Hymnie św. Franciszka z Assyżu” i w tym ostatnim ma rozwiązanie w duchu wybitnie chrześcijańskim, a więc biogunowo przeciwne niż w tamtych poematach. Niema żadnego powodu do opierania oceny poglądu poety na sprawę Ofiary Chrystusowej wyłącznie na tych dziełach, z których przebija krańcowy pesymizm, i do eliminowania hymnu św. Franciszka. A jednak czynią to niektórzy krytycy. Radosny, odbijający od ogólnej melodji ton tego hymnu, wcale nie jest czemś niezrozumiałym; wystarczy pamiętać o ciągłym kłębieniu się uczuć i nastrojów w duszy poety. Zresztą ten ton nie jest odosobniony; podobne doń, choć nie tak jaskrawe, rozbrzmiewają w „Marji Egipcjance” i w „Mojej pieśni wieczornej”. To też trudno zgodzić się ze stanowiskiem Julji Dicksteinówny ¹⁾, która utrzymuje, że Kasproicz w tym hymnie nie mówi z przekonania, że więc jest nieszczerą. Gdzie, jak gdzie, ale tu zarzut nieszczerości nie wytrzymuje krytyki, bo poeta, umiłowawszy św. Franciszka głęboko, umiał wczuć się w niego, jak może nikt inny, a po okresie burzy wielbił jego naukę (wiersz „Zaprzeczyc praw zwierchnicznych” ze zbioru „Chwile”) i naśladował go całym swoim życiem. Zresztą Dicksteinówna sama widzi tę wielką, serdeczną miłość poety dla serafickiego Biedaczyny, bo nazywa Kasproicza naszym, polskim świętym Franciszkiem ²⁾.

A zatem problem Golgoty u Kasproicza to nietylko „poczucie konieczności ofiary i próżności jej — a więc konieczności nieustannej ofiary” ³⁾, lecz także żarliwa wiara Poverella w zbawczą, odkupującą moc Krzyża, wiara wyrażona słowami psalmu:

*Bądź pochwalony, Rozdawco cierpienia!
Ręce mi przekłut i nogi
i krew mi cieknie z głowy,
a oto z Krzyża
zstępuje ku mnie w przechwalebnych ogniach
biały Serafin
i radość w serce mi leje
i z duszy śpiewne wytwarza narzędzie,
ażebym śpiewał i grał
ażebym sławił i wielbił
rozdawcę bolesnych stygmatów,
z których się rodzi wesele
i Miłość....*

Dr. A. Z.

¹⁾ Julja Dicksteinówna: „Idee i twórcy”, t. I. „Drogi myślowe w twórczości Kasproicza”, str. 185 i 186.

²⁾ Tamże str. 196.

³⁾ Kołaczkowski St.: l. c. 38.

Jednostka a zagadnienie sprawiedliwości społecznej.

Każdy okres w dziejach ludzkich można jakoś określić, scharakteryzować, można wydobyć centralne zagadnienia, można nawet z dużą dozą prawdopodobieństwa uchwycić związek genetyczny poszczególnych zjawisk. Jednym słowem — można utworzyć sobie syntezę danego okresu i na jej zasadzie wysnuć wnioski.

Ale na to wszystko trzeba jednej, najważniejszej rzeczy: trzeba oddalenia w czasie, tego, co nazywamy perspektywą historyczną, możliwością spojrzenia zdaleka i jakby zwysoka na świat. Bez syntezy zjawisk otaczających — niesposób orjentować się w życiu, a syntezy stworzyć nie można bez perspektywy. Trudno nie zmylić kierunku w gęstym lesie, lub w poruszającym się tłumie. Człowiek wówczas szuka pagórka, jakiegoś wzniesienia, żeby ogarnąć wzrokiem okolicę i wytknąć sobie kierunek.

W splocie zjawisk, określanym małowiącą nazwą kryzysu, wysuwa się na czoło zagadnienie t. zw. sprawiedliwości społecznej, zwane inaczej sprawą socjalną. Ludzie dzisiejsi zdają sobie sprawę ze swej misji dziejowej — wiedzą o tem, że ich zadaniem rozstrzygnąć jakoś i załatwić tę właśnie palącą kwestję. Mimo ogromnych postępów w dziedzinie kultury materialnej, mimo prób wcielenia w życie zasad demokracji — poczucie dysharmonji socjalnej, zaostrzone specjalną sytuacją kryzysu gospodarczego, narzuca się z przemożną siłą.

Dwie są zasadnicze cechy, charakteryzujące zagadnienie socjalne doby dzisiejszej. Pierwsza cecha — *radikalizm ujęcia*. Ludzie nie chcą się zadowolić usunięciem poszczególnych niedomagań, lub nadużyć ustroju socjalnego — stawia się zasadnicze pytanie, czy może nadal pozostać istniejący ustrój życia? — Nie wystarcza już miłosierdzie, lub współczucie — nazywają to „plastrem na drewnianą nogę” — dążeniem dzisiejszym jest rewolucja, zmiana nie tylko warunków życia, lecz również samych pojęć. Zasadnicze podstawy życia dzisiejszego — rodzina, własność prywatna i państwowa są obalane. Wysuwane są pytania, czy rodzina jest teraz konieczna, czy nie była ona formą przejściową, dziś już niepotrzebną? — Czy własność prywatna nie jest kradzieżą; czy wreszcie państwo dzisiejsze nie jest tylko narzędziem klas uprzywilejowanych i czy nie należy stworzyć raczej kolektywistycznej formy życia społecznego.

Drugą zasadniczą cechą dzisiejszego zagadnienia socjalnego jest jego charakter moralny. Prawdą jest, że przywódcy walk socjalnych często wysuwają pierwiastek najgrubszego egoizmu, terroru i nienawiści, lecz sama siła ruchu socjalnego świadczy o żywiołowym pragnieniu sprawiedliwości. W tym sensie ideologia socjalna, nawołująca do wszelkich ofiar w imię prawdy — nasuwa przypuszczenie zgodności tej ideologii z religią.

A jednak przywódcy dzisiejszego ruchu socjalnego nie chcą się przyznać do żadnego pokrewieństwa z religią. Pomijając mowy agitatorów wiecowych, możnaby przypuszczać, że oficjalny program skrajnych kierunków socjologicznych traktuje religię obojętnie, uważając ją za kwestję

indywidualną. Tak jednak nie jest. Stosunek ten jest zdecydowanie wrogi. Wystarczy parę cytat z „ewangelji” dzisiejszych bolszewików: Bebel oświadczał bez ogródek: „Wielki przewrót socjalny, który się odbywa, tem się różni od poprzednich, że nie szuka form religijnych, lecz odrzuca religję wogóle”. Fryd. Engels — „Pierwsze słowo religji — kłamstwo”. Marks — „Pojęcie Boga powinno być usunięte, gdyż jest ono fundamentem zepsutej cywilizacji”.

Po głębszem zbadaniu źródeł tego radykalizmu stwierdzamy, że nie jest on wynikiem konieczności ekonomicznych, lecz jest raczej wytworem filozofji historii, z którą bodaj przypadkiem związała się niemiecka szkoła naukowego socjalizmu. Marks i Lassal — apostołowie „ewangelji” socjalizmu, obaj Żydzi z pochodzenia, choć różni charakterem — obaj byli przejęci filozofją Hegla, jej skrajnym odłamem. Według tej filozofji świat przedstawia proces sił materialnych, zaś wierzenia i przekonania ludzi są tylko produktem tych sił w pewnym momencie. Lewy kierunek wyznawców Hegla widział w wierzeniach tylko rezultat socjalnych warunków, nie zaś objawienia. Bebel głosił, że człowiek jest produktem swego czasu i narzędziem warunków socjalnych.

Socjalizm postawił sam siebie na miejsce religji, którą (według Libknechta), uważa za podporę prywatnej własności i przywilejów. W umyśle mało krytycznego robotnika socjalizm tworzy inną religję z takimi dogmatami, jak: strajk powszechny, rewolucja społeczna, państwo przyszłości, wyzwolenie ludzkości i t. d. Możliwe to nazwać religją ziemi, gdyż tylko na ziemi widzi początek i koniec wszystkich rzeczy.

W ten sposób widzimy, że radykalnych socjalistów dzieli od religji cała przepaść nienawiści i niezrozumienia. Religja jednak, jako potężna siła, działająca na ludzkość — nie daje się wyeliminować. Dlatego też wrogowie Ewangelji próbują wykorzystać postać Chrystusa dla swych celów. Najbardziej charakterystycznym ujęciem w tym sensie jest książka Renana „Życie Chrystusa”, gdzie Chrystus - człowiek przedstawiony jest jako anarchista i rewolucjonista, który ma radykalne poglądy i jeżeli ich całkowicie nie wyjawia, to tylko dlatego, że otoczenie Jego było jeszcze zbyt konserwatywne. Inne podobne tłumaczenia Ewangelji dochodziły nieraz do grubej przesady, robiąc z niej jakiś traktat socjalistyczny. Argumenty tam przytaczane są w rodzaju następujących: przy zetknięciu się Chrystusa z tłumem, pierwszą Jego troską, było nakarmić ten tłum, aby pokazać, że zagadnienia ekonomiczne mają pierwszeństwo przed sprawami ducha; wypędzając handlarzy ze świątyni, daje Chrystus świadectwo swej niechęci do ustroju kapitalistycznego i t. d.

W ten sposób wpajano ludziom pojęcie Chrystusa, jako przywódcy proletariatu, człowieka z ludu, o którego prawa walczy z możnymi tego świata.

Dla chrześcijanina-katolika takie „uczłowiecznienie” Chrystusa byłoby zabiciem Ideału. Jeżeli Chrystus miał być tylko propagatorem tego, lub innego systemu — przestałby w oczach wierzącego być Najwyższym Autorytetem, gdyż każdy system socjalny, przy głębszem badaniu, wykazuje wady, a Chrystus z wadami — nie może być Drogą i Prawdą.

Z drugiej strony zagadnienie sprawiedliwości społecznej jest tak silne, niesie w sobie taką konieczność rozwiązania, że każdy, świadomy

swej wiary katolik, musi szukać tego rozwiązania tam, gdzie dla niego jest zawarta cała prawda życia — w Ewangelji.

O wskazaniach socjalnych, płynących z Ewangelji, pisano tomy, zabierali głos w tej sprawie papieże i uczeni, starzy i młodzi, zdawałoby się, że wszystko jest jasne. A jednak tak samo, jak cała wiara katolicka musi być uznana przez każdego poszczególnie, również ta kwestja musi być obmyślana przez każdego katolika. Nie znaczy to, że każdy z nas odkryje coś nowego — broń Boże — musi jednak stanowisko zająć przemyślane i to stanowisko jaknajczęściej w obliczu Prawdy kontrolować. Nigdy więc nie będzie zbędem badanie sprawy, czy Chrystus wskazał w Ewangelji system socjalny i jaki?

Możemy z całą pewnością odpowiedzieć, że Chrystus systemu socjalnego nie tworzył, nie stawiał sobie za cel praktycznego rozwiązania problemów socjalnych. On przyszedł zbawić świat, Jego misja — była misją religijną. Wyjaśnia On stosunek duszy ludzkiej do Boga. Rozwiązanie kwestyj socjalnych, jakie podaje Chrystus w czasie swej działalności wśród ludzi — jest raczej wtórnym rezultatem Jego nauki. Nie jest On obojętny dla spraw socjalnych, zwraca jednak przede wszystkim uwagę na stronę moralną zagadnienia (sprawa spadku — Łuk. XII—15 — Chrystus mówi: „Strzeżcie się wszelakiego łakomstwa“).

Chrystus ma do czynienia przede wszystkim z poszczególną duszą ludzką, to jest najważniejszy motyw w Jego nauce (Pasterz i zgubiona owca; niewiasta szuka drachmy).

Raz tylko w Kazaniu na Górze Chrystus podał jakby system swej nauki — pozatem operuje On poszczególnymi faktami. Rzadko obcuje z tłumem, często oddala się z uczniami od zgiełku życia powszedniego, najgłębsze prawdy swej misji wyjawia faryzeuszowi w nocy (Jan III — 1—21), lub ograniczonej Samarytance (Jan IV—7—29). Fakty te świadczą o tem, że Chrystus działał nie przez tłum, nie przez organizację, lecz przez uświęcenie poszczególnych dusz, dając im możność rozpowszechniania Jego nauki, szukania formy i organizacji.

Życie ludzkie w oczach Boga podnosi się i oczyszcza przez życie boże — to przybliża Królestwo Niebieskie. Przyjdzie ono nie przez władzę zewnętrzną, lub organizację socjalną, lecz przez ciągłe uświęcanie duszy ludzkiej.

Mówiąc językiem dzisiejszym — ustrój socjalny nie jest rezultatem działań mechanicznych, lecz indywidualnych, zaś indywidualność tworzy się w życiu socjalnym.

Nie można więc nazwać Chrystusa ani indywidualistą, ani socjalistą. Nie zostawił on systemu socjalnego, lecz dał nam wskazówki, jak wykorzystać każdy system, zachowując jednocześnie niezależność od niego.

Otóż ta pierwsza zasada ewangeliczna, że sprawy socjalne można rozpatrywać tylko zgóry, uwzględniając jaknajszerszy horyzont, jedynie uratować może od zniechęcenia dnia powszedniego, może nadać sens głębszy wszelkiej, nawet niezawsze odpowiadającej pragnieniom, rzeczywistości.

A druga zasada — dotycząca roli jednostki w pełnieniu misji zbawicieli świata — pogłębia jeszcze znacznie ujęcie zagadnienia. Chrystus zaprzecza fatalizmowi materialistów, którzy twierdzą, że charakter czło-

wieka jest wynikiem okoliczności. On z całą mocą zwraca się do własnej wolnej woli człowieka, przeznacza jej rolę w działaniu świadomym i uświęconym idealizmem. On tworzy ludzi, by ludzie potem tworzyli życie.

Socjalna Ewangelja Chrystusa, jeżeli tak się można wyrazić, nie jest Ewangelją faktów, lecz ducha i dążeń. A motorem tych dążeń jest Miłość i wstęp do Miłości — Sprawiedliwość.

Jeżeli więc dzisiejszy ruch socjalny wchodzi na manowce wskutek braku szerokiego horyzontu moralnego, jeżeli idzie wszędy, a nie wgłąb zagadnień, ślizga się jakby po powierzchni, nie dając ideałom wysuwającym treści wewnętrznej, a nadewszystko gotów jest utopić świat w morzu nienawiści — wobec tego nauka Chrystusa ma jeszcze coś do powiedzenia w świecie dzisiejszym, jeszcze nie „przebrzmiała“, jak twierdzą jej przeciwnicy.

Dr. Władysław Bogatkiewicz

Kościół.

„Ty jesteś opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół, a bramy piekielne nie zwyciężą go“ — rzekł pewnego razu Chrystus Pan do świętego Piotra. Kogóż to Nasz Mistrz bierze na fundament Kościoła? Nie Tytana, jakim był Chrzyciel, nie uosobioną Miłość, jakim był święty Jan Ewangelista; wybiera na to odpowiedzialne stanowisko tchórza, słabego człowieka, zwykłego, miernego, przeciętnego człowieka. I słusznie: potęgi ziemskie, oparte na spiżowych fundamentach, imperja niezwalczona, mające za podstawę moc — upadały; ale Kościół, zbudowany na słabości, trwa i trwać będzie wiecznie, bo najsilniejszy łańcuch nie jest mocniejszy od swego najsłabszego ogniwa. Słabość i małość, oparte o Moc i Wielkość Absolutne, stają się podstawą, na której można śmiało budować drapacze Nieba.

Taka jest podstawa Kościoła — zwykły człowiek. A jakże wygląda sam drapacz Nieba — Kościół, na nim zbudowany? Stanowczo za wiele o nim mówią i piszą turyści, zdaleka od niego przejeżdżający, a za mało jego mieszkańcy, którzy dość się mu przyjrzeni z zewnątrz i z wewnątrz, którzy stanowią jego świadome cegiełki. Ci niewątpliwie mogliby o nim coś więcej powiedzieć. Niestety, o Kościele piszą i mówią — i to głośno, nawet za głośno — nie-katolicy, ci zwłaszcza, którzy mają wielką ochotę go zburzyć. Każde słowo, każde zdanie jakie o nim wygłaszają, jest — w najlepszym wypadku — konsekwencją ignorancji przedmiotu, w innych — fałszem, często policzkiem dla katolika. Ale rzecz dziwna: katolicy mało się tem wzruszają, ba, często im przytakują.

Czegóż to dowodzi? Tego, że katolicy nie wiedzą sami, co to jest Kościół, i poznają go właśnie ze strony przeciwnej, wrogiej. Kim jesteśmy, dowiadujemy się od naszych wrogów: przecież to absurd. Czas uświadomić sobie, przynajmniej w ogólnych zarysach, co to takiego ostatecznie ten Kościół.

Zawrotu głowy można dostać przy próbie objęcia myślą rzeczy tak wielkiej, tak cudownej, tak wspaniałej, jaką jest Kościół Święty, Matka Nasza. Jest on czemś o wiele nam droższym, o wiele większe ma dla nas znaczenie niż ziemską matką, bo ta daje nam życie naturalne, ziemskie, ograniczone, gdy tymczasem Kościół rodzi nas do życia nadnaturalnego, nadziemskiego, nieograniczonego, do życia takiego, które jedynie można nazwać życiem, to znaczy — do wieczności. Kościół daje nam możliwość uczestniczenia w dziele Odkupienia; z nicości, w której trwaliśmy jako coś stworzonego, czyni nas przyjaciółmi Chrystusa Pana. Więcej: karmiąc nas Bożem Ciałem, przemienia nasze ciało w Ciało Zbawiciela, a łącząc duszę z Bogiem, niejako ją samą czyni Bogiem; niczem więcej, bo „nie jest sługa większy nad mistrza”. Może za śmiałe jest to, co piszę, ale precyzyjnie trudno jest to wyrazić: ostateczności stykają się, a od prawdy krok tylko do herezji. Przy rozważaniu najgłębszych prawd, prawd szczytowych, jest się bardzo blisko absurdu, bo dwie te dziedziny graniczą ze sobą. Kościół — to *Christus Continuatus* — Ciało Chrystusa, przedłużone w wieczność i ożywione Jego Duchem: „A oto ja z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Tu wyłania się już pewne, niejasne pojęcie o Kościele. Jest to organizm — coś, co żyje. Błędem logicznym jest twierdzenie, że Kościół to tylko organizacja. Z równym powodzeniem mógłby ktoś nam opowiadać, że widział nieboszczyka, zapijającego pół czarnej w „Ziemiańskiej”. Organizacja jest tylko formą, a sama forma nigdy nie może istnieć; musi być coś, co jej daje byt — treść. Kościół jest organizmem żywym, który wciąż rośnie, niekiedy choruje, ma za sobą długi okres ewolucji, w czasie którego nierzadkie były i rewolucje (zakładanie i reformowanie zakonów), organizm żywy wiecznie. Członki jego są świadome (różnica z organizmem zwierzęcym) i im bardziej świadome, tem lepiej wykonywują swoje posłannictwo. Są i nieświadome: ci wszyscy, którzy formalnie doń nie należą i nie mieli możliwości poznać jego nauki, a żyją zgodnie z sumieniem — Bogiem, ukrytym w każdym człowieku. Można też świadomie nie być członkiem Kościoła materialnie, gdy się doń należy formalnie, a żyje w grzechu, który paraliżuje życie nadprzyrodzone — życie każdego członka Kościoła. Obaj są godni politowania, choć o wiele więcej ten drugi, bo pogardza Odkupieniem. Może więc być żywym członkiem Kościoła jakiś dziki Malajczyk i nie być nim np. papież — co nieraz się zdarzało. Oczywiście należy tu rozróżnić urząd od indywidualności. Stanowisko samo — zastępstwo Chrystusa Pana — jest tak wielkie, że samo wystarcza, aby być posłusznym najgorszej nawet jednostce je zajmującej, oczywiście, gdy z tego stanowiska występuje. To samo odnosi się do księży. Ale sama jednostka osobiście może nie być żywym członkiem Kościoła.

Podstawą tego organizmu są zakony, na mózg składają się tacy ludzie, jak święty Augustyn i święty Tomasz, sercem są święty Franciszek, święty Wincenty à Paulo i inni, ręce to święty Ludwik, Godfryd de Bouillon, Szymon de Monfort. My wszyscy naogół jesteśmy członkami konsumującymi to, czego nam wielcy dostarczają. Ksiądz, wyzyskujący owieczki swoje, jako członek zgangrenowany, powinien być odrzucony, ale tylko przez głowę Kościoła — papieża, który czuwa nad całym organizmem.

Brud i podłość nie mają nic wspólnego z Kościołem. Składają się na niego tylko święci, oczywiście nietylko kalendarzowi. Za bardzo boimy się słowa „święty”. Każdy człowiek, żyjący w stanie łaski, jest świętym, bo mieszka w nim Bóg, któremu tylko należy trochę pomóc.

„A bramy piekielne nie zwyciężą go”. Próbowali: był straszny moment, gdy walczyli z sobą papież i antypapież, gdy symfonia, kłamstwo i przekupstwo wtargnęły do życia Kościoła, gdy wcielony szatan, jak go zwano, Aleksander VI usadowił się na stolicy Piotrowej. Fakt, że podstawa — zakony podtrzymały wtedy Kościół, że umiał się on zdobyć na taki niesłychany wysiłek, że zdołał się oczyścić z brudu, jest faktem wprost nadprzyrodzonym i najdobitniej świadomy o spełnieniu się przytoczonej przepowiedni Chrystusa Pana. Fakt ten daje nam również pewność niezłomną, że Kościół zawsze zatryumfuje, a z prób i prześladowań wyjdzie jeszcze bardziej czysty i mocny.

Organizacja, obrzędy, liturgia, wszystko to, co się składa na formę, ukrywającą cudowną treść — Prawdę najbardziej realną na świecie, Drogę, do Tej Prawdy wiodącą i Żywot w Tej Prawdzie, przepiękna przeszłość, cały ogrom myśli i całej kultury, jaką wytworzyło chrześcijaństwo, wszystko i wiele więcej jeszcze — oto jest Kościół. Małe, bardzo małe można o nim dać pojęcie w słowach. Im bardziej się go rozumie, tem bardziej jest niepojęty; podobny jest on do góry, która rośnie w nieskończoność, im bardziej się do niej zbliżamy. Imby więcej ktoś o Kościele pisał, tem więcej miałby do pisania, na co oczywiście niema miejsca w artykule niniejszym. Ale mnie chodziło tylko o wskazanie na ważność samego zagadnienia. Jedyną przyczyną słabości katolików jest to, że nie żyją życiem Kościoła, albo przynajmniej bardzo słaby w niem biorą udział. Trzeba wejść w nie, rozejrzeć się po całym gmachu, przypatrzeć się szczegółom, spróbować ogarnąć całość. A wtedy przyjdzie objawienie: katolik zrozumie, że Kościół jest cudem, w którym on również ma, może i powinien mieć udział, że może w koralowym zamku przepędzić życie całe, a nieszczęsny padół łez i płaczu zamienić, dzięki Kościołowi, w cudowną bajkę, w czarowny sen, będący zarazem najrealniejszą realnością. Taka chwila dla katolika, to moment konwersji, po którym nie zadowolony się już konsumpcją tylko, ale odpowiednio się odżywiwszy, stanie się znakomitym producentem — twórcą. Tylko chwila zastanowienia się nad Kościołem, ta chwila objawienia, podyktowała to w pewnym sensie słuszne powiedzenie: „Poza Kościołem niema zbawienia”.

Zygmunt Jakimiak

Na marginesie współczesnych — izmów.

Ks. Bronisławowi Kuleszy.

„Nie pokój, przyniosłem, ale miecz”, powiedział Chrystus, a są tacy, nawet wśród katolików, którzy sądzą, że nadszedł już, czy nadejdzie czas, kiedy prawda i fałsz, dobro i zło znajdą jakiś sposób spokojnego istnienia obok siebie, a „Pax Christi in regno Christi” wyobrażają sobie,

jak miłą drzemkę duchową, bliżej zresztą nieokreśloną. Nie będzie nigdy spokoju-bezczynności, bo spokój taki to śmierć, a życie jest walką, ale spokój-porządek¹⁾ — oparty jednak na walce nieubłaganej, wszędzie i zawsze, w człowieku i w świecie, o panowanie prawdy nad fałszem, dobra nad złem, a nie o ich równoległe istnienie. Królestwo Boże na ziemi, o którego przyście modlimy się codziennie (a dla którego realizacji stanowczo za mało robimy!), polega nie na tem, że zło (grzech), zostanie wykorzystane ze świata, ale na tem, że cała ludzkość uzna zasady etyki Chrystusowej, za jedyny sprawdzian wartości całego swego życia, że zło popełnione nazwane będzie złem, a nie dobrem (jak to dziś zbyt często niestety ma miejsce), a wtedy każdy przy pomocy nadprzyrodzonych środków, któremi szafuje Kościół, o ile tylko zechce, będzie się mógł podnieść z upadku. Musimy więc, my katolicy, dążyć do tego, aby zasady etyki Chrystusowej, przez Kościół nam autorytatywnie do wierzenia podane, stały się naczelnymi, kierowniczymi ideami życia indywidualnego i zbiorowego. Do tego nie wystarczy tylko obrona naszego światopoglądu, dowodzenie, że jest on zgodny z rozsądkiem i z całą naturą człowieka, należy też głosić, że „poza Kościołem niema zbawienia”, a wszelka etyka, wszelka moralność nie na Krzyżu oparta, jest głupstwem, choć da może człowiekowi wszystko z wyjątkiem jednak szczęścia. Nie należy więc do fałszywych poglądów przyczepiać ozdóbek katolickich, nie należy tylko filantropją łagodzić zła, wynikłego z niesprawiedliwego ustroju, nie wystarczy zawieszać krzyżów w audytorjach, w których się podaje za prawdę tezy sprzeczne z Objawieniem, a często ze zdrowym rozsądkiem — trzeba odnowić wszystko w Chrystusie. Katolicyzm jest najbardziej maksymalistyczną filozofją życia, jaka kiedykolwiek była na ziemi; Chrystus nie powiedział „bądźcie przeciętnie porządnymi ludźmi”, ale „bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz Niebieski doskonałym jest”, a jako wzór społeczności dał znów nie przeciętność, ale Królestwo Boże na ziemi! Wszystko, a nie cokolwiek — oto nasz program, bo „kto nie jest ze Mną — przeciw Mnie jest, kto ze Mną nie zbiera — rozprasza”, powiedział Chrystus.

Przeciwnicy nasi, chcąc uśpić naszą czujność, sparaliżować naszą wolę czynu, postanowili zatruć umysłowość katolicką błędnymi pojęciami. Pragnąc nieograniczonej swobody szerzenia zła, potrafili wmówić w nas, że tolerancja jest cnotą chrześcijańską; bojąc się siły w służbie dobra i prawdy, wmówili w nas, że humanitaryzm i pacyfizm to też cnoty chrześcijańskie. Jakto? Więc z ducha chrześcijańskiego wypływa ten współczesny humanitaryzm, prowadzący akcję filantropijną dla ofiar wojny za pieniądze na popieraniu tej wojny zdobyte (Hoover), fundujący uniwersytety w Ameryce i instytuty higieny w Warszawie za pieniądze, zarobione na rzeziach i rewolucjach, wywoływanych w Meksyku (Rockefeller)? Więc katolicką cnotą ma być ta tolerancja współczesna, która, gdy biją prawdę w prawy policzek, pozwala ją uderzyć i w lewy, która patrzy obojętnie, jak silniejszy pożera słabszego (liberalizm ekonomiczny)? Co ma wreszcie wspólnego z katolicyzmem, ten współczesny, zakłamany pacyfizm, któryby zawarł pakt nieagresji nie tylko z Rosją Sow., ale i z dja-

¹⁾ Sw. Tomasz „Contra Gent.”, III 71 i Summa Theol. I. 9, 65.

blem, byle za cenę spokojnego trawienia nagromadzonych dóbr, i który tak cynicznie oszukuje sam siebie na konferencjach rozbrojeniowych w Genewie?

Katolik w imię miłości bliźniego i nakazu apostołstwa nie pozwoli na wolność szerzenia zgorzienia na świecie, nie dopuści do traktowania człowieka jako środka do zaspokojenia najpierw swego interesu, a później swego snobizmu, sentymentalizmu, czy żądzy sławy, nie pozwoli na pokój za wszelką cenę, często za cenę kompromisu ze złem. Katolik nie jest tolerancyjny, bo jest najgłębiej przekonany o słuszności tego, w co wierzy, a prawda jest zawsze agresywną i nietolerancyjną, ponieważ jest prawdą — nie fałszem; katolik nie uznaje życia dla życia, czy sztuki dla sztuki, ale wszystko dla zbawienia jednostki. Katolik nie jest humanistą, bo dla niego cierpienie i zło fizyczne nie jest — tak, jak dla niewierzącego — największym złem na świecie. Katolik wreszcie nie jest pacyfistą, bo musi zawsze wybrać słuszną wojnę, nie zaś niesprawiedliwy pokój, a dla idei poświęci nie tylko swoje, ale nawet cudze życie i zdrowie, bo go nie uważa za najwyższe wartości na ziemi. Ba, nawet więcej! Żądamy współdziałania władzy świeckiej z misją nauczycielską Kościoła. Miecz w rękę prawdy. Więc inkwizycja? Tak! Gdyby dziś komuś, co się uważa za katolika, powiedzieć słowo „inkwizycja”, to się zlekka rumieni ze wstydu i bąka o nadużyciach, ówczesnym duchu czasu i t. p. bredniach. Inkwizycja, czyli wyraźne oddzielenie fałszu od prawdy i potępienie go, była w Kościele, jest i będzie, bo być musi, bo jest przecież najistotniejszą funkcją nauczycielską Kościoła, który ma nam wyraźnie wskazywać, które drogi do Boga prowadzą, a które nie. Jeśli dziś jest inaczej, niż w średniowieczu, to nie dlatego, że zmienił się Kościół — nie, bo On się nigdy nie zmienia, bo prawda to nie fason kapelusza, czy krój żakietu — ale dlatego, że zmienił się stosunek władzy świeckiej do misji Kościoła. Dawniej Kościół potępiał, a władza świecka, wiedząc, że „lepiej gorszycielowi kamień młyński do szyi i w głębokości morskie”, usuwała heretyka ze społeczności w mniej łagodny (stos — pamiętaj przytem czytelniku, że życie ludzkie nie jest najwyższą wartością na ziemi!), lub więcej łagodny sposób (wygnanie, więzienie). Dziś Kościół pośrednio, lub nawet bezpośrednio potępia kogoś za fałszywe i przewrotne poglądy, a władza świecka... daje takiemu panu nagrodę literacką miasta stoł. Warszawy.

Żądamy od władzy świeckiej wygnania z literatury, sztuki, nauki i polityki, z handlu, przemysłu i finansów, z domu, szkoły i ulicy tych wszystkich, co celowo, wytrwale i systematycznie zatruwają dusze jednostek i narodów; i dlatego do władzy dążymy i o nią walczyć będziemy. Dobrze — odpowie ktoś — ale przecież państwo ma dbać tylko o dobrobyt obywateli? Słuszna uwaga, ale przecież my od państwa nie żądamy wskazówek, jak osiągnąć zbawienie, bo od tego jest Kościół, tylko twierdząc na podstawie doświadczenia 20 wieków, że jedynie zdrowy światopogląd daje zdrowie, dobrobyt i szczęście społeczne, żądamy współdziałania z Kościołem w imię właśnie dobrobytu obywateli. Dlatego bowiem jest kryzys ekonomiczny, że dziś banda opryszków kieruje życiem gospodarczym świata, bo „drzewo złe musi rodzić złe owoce”. Może mi ktoś zarzucić, że katolicyzm brzydzi się użyciem siły („nie sprzeciwiajcie się złu”). Nieprawda, Chrystus siłą wygnał kupców ze świątyni, bo siła

w służbie prawdy i dobra jest czemś dobrem, a tylko siła w służbie zła ma wartość moralnie ujemną. Chciałbym podać jeszcze jeden konkretny przykład użycia siły dla uniemożliwienia zgorzenia.

Gdyby człowiek był duchem czystym, to wobec bluźnierstwa w kościele zaprotekowałby myślą, uczuciem, a może i mową, ale ponieważ jest istotą duchowo-cielesną, więc zaprotekuje tak, jak duch czysty, ale ponadto weźmie za kark i wyrzuci bluźniercę z kościoła. To, co robi, nie będzie ani tolerancyjne, ani humanitarne (bo często połączone z bólem dla wyrzuconego!), ale właśnie dlatego dobre.

Matka też nie jest tolerancyjna, gdy z miłości siłą uniemożliwi dziecku włożenie ręki do ognia!

Katolik musi być „cichy i pokornego serca”, nie może sprzeciwiać się złu złem; gdy go krzywdzą osobiście, cierpi z radością, bo wie, że jedno tylko znoszenie cierpienia jest indywidualną zasługą człowieka wobec Boga. Ale gdy ktoś obraża nie jego, ale prawdę przezeń wyznawaną, lub wartości przez niego słusznie ukochane, to katolik z baranka musi przemienić się w lwa!

„Nie pokój przyniosłem na świat, ale miecz i jedno chcę, aby gorzał”.

P. S. Kto się z takim ujęciem tego zagadnienia nie zgadza, tego proszę o replikę, lub prywatną dyskusję. W interesie bowiem nas — młodych katolików — leży, żebyśmy wiedzieli, czego chcemy, zanim to „coś” zaczniemy realizować w sobie i otaczającym nas świecie.

Stanisław Cieślak

Podpatrzone i podstuchane.

Proszę o urlop.

Bohaterem tego feljetonu jest kolega — „kolega wogóle”, ale nie bylejakiego kolega: starszy juwentusiak, bardziej wyrobiony, ceniony i poszukiwany, przytem — oczywiście przepracowany. Wyobraźmy go sobie na zebraniu towarzyskim paru kół juwentusowych — u ks. Detkensa. W pokoju bibliotecznym, koło telefonu rozmawia on z księdzem kierownikiem swego koła:

— Będę musiał wziąć na jakiś czas urlop z koła, proszę księdza, zupełnie nie mam czasu...

— Kolego! Nie możecie tego zrobić. Koło jest podstawą pracy juventusowej. Wszystko inne możecie rzucić, tylko nie koło. Sami czujecie, jak bardzo was tu potrzeba. Mam rację, czy nie mam racji?

W tej chwili porwano księdza do „latającej chusteczki”, którą organizowano właśnie w drugim pokoju.

— Kolego, mam do kolegi ważny interes — odzywa się energiczny głos niewieści; to prezes Koła Instruktorów. — W Kole Instruktorów jest bałagan, nikt nic nie robi; muszę się do was wziąć energicznie. Dotąd powstały w Kole następujące komisje: komisja bibliograficzna, programowa, metodyczna, ideologiczna, prawnicza, statutowa, regulaminowa i komisja reform... W której z nich chce pan pracować? A może pan stworzy nową komisję?

— Koleżanko, ja naprawdę mam bardzo dużo pracy i właśnie chciałem prosić o urlop z Koła Instruktorów.

— Co to znaczy „dużo pracy”? Wszyscy mamy dużo pracy. Ja się nie zgadzam; nie daję panu urlopu. Zapisuję pana do komisji regulaminowej. Przyjdzie pan na zebranie tej komisji w przyszły wtorek.

Nie dając przyjąć do słowa oszołomionemu koledze, prezes Koła Instruktorów znika w pogoni za nową ofiarą.

A oto zbliża się inna ważna osobistość; tym razem prezes Związku Senjorów.

— Czy mogę prosić kolegi o pięć minut rozmowy? Chodzi o Związek Senjorów. W Związku są ludzie, którzy nic nie chcą robić i tacy, którzy chcieliby pracować. Trzeba im tylko dać sposobność do pracy. W tym celu Grupa Czynna Związku Senjorów wylania z siebie obecnie Gromadę Działającą. Kolega jest inżynier. Myślę, że kolega zapisze się do Koła Techników Sekcji Pracy Zawodowej Gromady Działającej Grupy Czynnej Związku Senjorów Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Iuventus Christiana”.

— Him! Ja właściwie nie mam czasu. Ale na czym ma polegać praca?

— Niech kolega przyjdzie w niedzielę na organizacyjne zebranie. Ułożymy odrazu wstępny szkic projektu planu programu działalności koła i przystąpimy konkretnie do pracy. Więc liczę na kolegę.

Od strony stołowego pokoju, gdzie na opróżnionych półmiskach pokutują resztki kanapek i ostatnie pączki, zbliża się znany bywalec zebrań towarzyskich, antifeminista-reformator.

— Cóż słyhać w twoim kole? Podobno marnie, prawie same koleżanki... Ale! Słyszaleś pewnie: zakładamy klub dyskusyjny kolegów. Koedukacja już się przeżyła, trzeba iść z prądem czasu. Bo, proszę ciebie, czyż można porządnie pracować razem z kobietami? Przecież najgłupszy kolega jest dwa razy więcej wart od najinteligentniejszej koleżanki. Może wygłosisz referat na najbliższym zebraniu dyskusyjnym klubu? Coś bojowego, proszę cię, coś z aktualnych zagadnień; na przykład: „Numerus clausus dla kobiet na wyższych uczelniach”. Będzie bridge, szachy, czarna kawa, papierosy, proszę ciebie, patefon... Zresztą musimy omówić to szerzej.

— Dobrze, ale kiedy? Przyjdę może na twoje koło...

— Nie, ja nie chodzę na swoje koło, bo muszę bywać na kole Y. Przyjdź i ty, to wyjdziemy razem, odprowadzimy kol. Marysię, kol. Halę... i kol. Zosię... no, i kol. Hele, a potem porozmawiamy. Wczoraj do 3-ej w nocy spacerowałem z Tuśkiem po Marszałkowskiej.

Za chwilę już można było widzieć antifeministę, jak zdmuchując niedbale popiół z papierosa, toczył zajadłą dysputę z jedną z najsympatyczniejszych koleżanek.

— Kolego, napiszecie mi jakąś recenzję do „Młodzieży katolickiej” — obwieszcza jedna z przedstawicielek „Iuventus” w redakcji „Młodzieży”.

— Koleżanko, czyż nie macie innych ludzi? Naprawdę nie mam czasu; piszę właśnie artykuł do najbliższego numeru „Iuventus”.

— No, jeżeli nawet kolega mi odmawia, to już nie wiem, do kogo mam się zwrócić. U nas, w „Iuventus” nie docenia się znaczenia pisma związkowego. Namyślcie się, kolego. Zadzwoń do was, jutro i podam parę tytułów książek.

Nie czekając na odpowiedź, koleżanka oddała się czempredzej.

Z daleka już słyhać donośny śpiew:

„Cisza wokoło, noc jasna, czyste niebo...”

— Muzyka, to cudowna rzecz. Każdy wesoły człowiek musi śpiewać. A tylko katolik może być prawdziwie wesoły. Chesterton napewno ciągle śpiewa. Bo to najweselszy człowiek na świecie; a jednocześnie najpoważniejszy: tylko z rzeczy poważnych można się śmiać. Brat Jałowiec ciągle się śmiał. A jaki był zarozumiały! Tylko katolik ma prawo być zarozumiały, bo ma z czego. Słyszałeś? Zarząd tworzy wreszcie sekcję propagandowo-polemiczno-odczytowo-prasową. Doskonale! Będziemy pisać! Bo my nie umiemy pisać po katolicku. Powiedziałem na zarządzie, że ja z tobą zorganizujemy sekcję. Kiedy zrobimy zebranie? W poniedziałek?

- Nie mogę, mam zebranie koła.
- A wcześniej?
- Nie mogę, jestem w komisji rewizyjnej. Odbывamy właśnie rewizję kasy pożyczkowej, archiwum, sekcji fotograficznej i biblioteki.
- No, to we wtorek?
- Nie mogę, mam zebranie komisji obozowej.
- A we środę?
- Zapomniałeś o zebraniu Rady Naczelnej?
- A we czwartek?
- Nie mogę, mam konferencję z księdzem, a potem jeszcze wizytuję parę kół.
- A w piątek?
- Nie mogę, idę na zebranie Zarządu; trzeba czuwać nad tymi młodymi.
- A w sobotę?
- Nie mogę. Mam zebranie komitetu organizacyjnego obchodu pięciolecia powstania naszego koła.
- Może wobec tego w niedzielę?
- Przecież jest całodzienna wycieczka do Puszczy Kampinoskiej.
- A prawda. To umówimy się w przyszłym tygodniu. Wiesz, obchodzę jubileusz: drukuję właśnie swój 55-ty artykuł w „Bojowniku katolickim”.

Polemista katolicki oddał się, bardzo zadowolony z siebie, gwizdząc tym razem arję z „Cyrulika”.

W sąsiednim pokoju rozszalałe pianino umilkło nagle w połowie dzikiego foxtrotta. Pianista wpada, krzycząc na całe gardło:

— Oooo! Serwus, staruszek! Jak tam najdroższa? Okazja, jak rzodko! Musisz nam zagrać ojca rodziny w najbliższej imprezie Sartu. Sztuka, — jak dziura w moście! Doskonała! Jutro przyniosę ci rolę.

Za chwilę już słyhać jego szczekanie w drugiej stronie mieszkania.
„Kolega wogóle” otarł zimny pot z czoła i osunął się z jękiem na krzesło.

D—owcip. N—ieudany.

K r o n i k a.

Z KOŁA INSTRUKTORÓW.

Dnia 25.IV. odbyło się zebranie koła instruktorów. Po sprawozdaniu z pracy w kołach, kol. Józefowiczowa wygłosiła referat p. t.: „Metoda opracowywania referatów w Iuventus”. Treść referatu podamy w następnym numerze pisma w dziale „Metodyka pracy juwentusowej”.

ZEBRANIE OGÓLNE.

Dn. 6.V. o godz. 20-ej, w lokalu kursów ogrodniczo-pszczelniczych przy ul. Profesorskiej, odbyło się zwykle, ogólne zebranie dyskusyjne. W pierwszej części kol. Kozłowska (koło VIII), wygłosiła rozważania nad Ewangelią (Sw. Marek, VII, 24—29), poczem wywiązała się dyskusja.

Następnie kol. Apolinary Zukowski, senior, miał niezwykle interesujący referat p. t.: „Jubileusz Odkupienia na tle stosunków dzisiejszych”. Prelegent b. ciekawie i rzeczowo, na podstawie danych statystycznych, zobrazował siły dwu walczących obozów: bezbożnictwa i katolicyzmu, podkreślając wielką doniosłość ogłoszenia, w tych właśnie czasach, roku jubileuszowego.

SWIĘTO.

Doroczne Święto Organizacji w dniu Zesłania Ducha Sw. odbędzie się dn. 4.VI. Święto poprzedzą wewnętrzne rekolekcje organizacyjne, w kościele akademickim, w dn. 31 maja, 1 i 2 czerwca, o g. 21-ej. Konferencje wygłosi ks. dr. kan. Węglewicz.

Dnia 3 czerwca — spowiedź.

Dnia 4 czerwca — Msza św. w kościele akad. o godz. 7.30 rano, połączona ze wspólną Komunią św. Po śniadaniu wycieczka, podczas której odbędzie się przyrzeczenie nowych członków.

OBOZ.

Obóz organizacji odbędzie się w roku bieżącym w okolicach Wilna. Koszt utrzymania dziennie około 2 zł.

Zarząd Gł. prosi o zgłaszanie się na uczestników obozu przez delegatów kół lub do kol. Czechowicza, tel. 9-61-81.

Dział Związku Seniorów.

ZE ŚWIATA.

WOJNA A MIŁOŚĆ OJCZYZNY.

Odczyt na ten temat wygłosił niedawno w paryskim „Institut Pie XI” ks. Ducatillon. Prelegent wyszedł z założenia, że idea wojny i idea patriotyzmu, są tak ściśle z sobą związane, iż bez motywów patriotycznych wojny nie byłyby możliwe. Dla katolików wypływa stąd obowiązek, by przez oczyszczenie i uchrześcijanienie idei patriotycznej dojść do stosowania chrześcijańskiej krytyki i oceny również wobec wojny. Podobnie, jak do miłości Ojczyzny, winno się także do oceny wojny stosować sprawdziany, które wynikają z obu podstawowych cnót społecznych: sprawiedliwości i miłości bliźniego. Przy takim pojmowaniu rzeczy, należy z góry odrzucić tę bio-socjologiczną teorię, która uważa wojnę za nieuniknione następstwo „witalnej konkurencji” narodów. To samo dotyczy teorii „zblakanych mistyków”, uważających człowieka za bezwolne narzędzie w rękach Opatrzności, która, ilekroć rozgniewa się z jakiegokolwiek powodu, zaraz na ludzkość spuszcza karę w postaci wojny. Zapewne, katolicy muszą wierzyć, że każdemu wojennemu starciu się narodów właściwy jest pewien element opatrnościowy, ale nigdy nie będą podnosili tego elementu do znaczenia absolutu, lecz pozostawią woli ludzkiej i odpowiedzialności ludzkiej to, co im się należy. Dopiero przy takim zastrzeżeniu, można dokonać oceny każdego konkretnego wypadku wojny. Ogólnie biorąc, wojnę należy zawsze uważać za zło, a osoby lub klasy społeczne, które ją bez usprawiedliwionych przyczyn wywołują, są przestępcami.

W dzisiejszej sytuacji międzynarodowej, można wyróżnić trzy rodzaje wojny: wojnę obronną, wojnę, pojmowaną, jako „akcję policyjną”, i imperjalistyczną wojnę zdobywczą, uważaną za środek ekspansywnej polityki narodowej. Jasną jest rzeczą, że dwa pierwsze rodzaje wojny mogą ostać się wobec surowości etyki katolickiej; pozostaje tylko kwestja, czy w każdym poszczególnym wypadku można stwierdzić z całą pewnością, że dana wojna należy do jednej z tych dwu kategorii. Natomiast nacjonalistyczna wojna zdobywcza jest wynikiem neopogańskiego ubóstwienia narodu i nie ma absolutnie nic wspólnego z uświęconem przez chrześcijaństwo uczuciem miłości względem własnego kraju.

CHIŃSKI PRZEKŁAD „SUMMY TEOLOGICZNEJ” ŚW. TOMASZA.

Delegatura apostolska w Pekinie wydała „Summę Teologiczną” św. Tomasza z Akwinu w chińskim tłumaczeniu ks. Ludovico Buglio, jezuita (1606 — 1682). Wydanie to obejmuje 9 tomów i 1694 strony. Równocześnie misja jezuitów w Zikawei pod Szanghajem, sporządziła inne wydanie, które również i pod względem zewnętrznym całkowicie zachowuje chińską formę pierwszej edycji z lat 1654 — 1677, podczas gdy wydanie pekińskie ma w pewnych rozdziałach wstępy i napisy łacińskie, celem uprzystępnienia dzieła seminarjum duchownym w Chinach. Pierwszego przekładu św. Tomasza dokonano dzięki zachęce papieża Pawła V, który w r. 1615 zezwolił na użycie z pewnymi ograniczeniami klasycznego języka chińskiego, jako języka liturgicznego. Tłumaczenie liturgicznych i teologicznych ksiąg na język chiński jest z powodu ogromnej różnicy między łacińskim i chińskim myśleniem językowem zadaniem niezwykle trudnym. A trzeba wziąć pod uwagę, że misjonarze nie mieli ani nauczycieli języka krajowego, ani słowników. To też praca ojca Buglio'a jest czynem, który budzi zdumienie. Razem z chińskimi przyjaciółmi przełożył on Brewjarz Rzymski, Mszał i Rytuał, dokonał wyciągu z teologii moralnej i uwieńczył ten niezwykle trud tłumaczeniem Summy. Pierwotne wydanie liczy 31 tomów i ma tytuł: „Zarys nauki, która przewyższa naturę”.

REWIZJA POGLĄDÓW NAUKOWYCH NA ŚREDNIOWIECZE.

Zastanawiając się nad stosunkiem ludzi nauki do średniowiecza, „Osservatore Romano” zaznacza, że zanika stopniowo atmosfera pogardy, z jaką traktowano doniedawna wiele spraw, odnoszących się do wieków średnich. Wszędzie ujawnia się chęć zbadań i skorygowania zakorzenionych, a dziś uważanych za niesłuszne, sądów o duchowej kulturze średniowiecza. Drogę do rewizji poglądów na kulturę średniowieczną toruje przede wszystkim wzrastająca znajomość olbrzymiego skarbu duchowego, jaki średniowiecze posiadało w jedności swego Credo i swego życia kościelnego. Największą zasługę mają tu ci historycy, którzy w studjach swych, opartych na wyczerpujących źródłach, przedstawiają w sposób wolny od wszelkich uprzedzeń, prawdziwą rzeczywistość życia średniowiecznego. Od nich filologowie otrzymali zachętę do pilniejszego badania literackiej produkcji wieków średnich i oświetlenia przy jej pomocy duchowej wartości tej epoki. Pierwszym owocem tych prac naukowych było stwierdzenie, że starożytna literatura znalazła w średniowieczu swą kongenjalną kontynuację, względnie żyła nadal w świadomości ludzkiej, przeniknięta nową treścią duchową.

Rozumie się samo przez się, że przedewszystkiem uczeni katolicycy zainteresowali się temi badaniami. Z pośród nich w pierwszym rzędzie należy wymienić ojca Agostino Gemelli, rektora i twórcę uniwersytetu katolickiego w Medjolanie. Jego studia o „Jedności świata chrześcijańskiego w średniowieczu” i o „Filozoficznym znaczeniu kanonizacji św. Tomasza z Akwinu”, mają doniosłą wartość w tym względzie. Kolegium profesorskie wspomnianego uniwersytetu w Medjolanie powzięło myśl — częściowo dla uczczenia 50-tej rocznicy urodzin ojca Gemelli'ego — wydania zbiorowego dzieła o średniowieczu, pod ogólnym tytułem: „Orbis Romanus”. Dzieło to pomyślane zostało jako „Biblioteka krytycznie opracowanych tekstów średniowiecznych” głównie z 12 i 13-go stulecia. W jednakowym zakresie znajdują w niem uwzględnienie literatura, prawo i filozofia. Pierwsza publikacja: „Rymotwórcy Bolonji z 13-go wieku”, opracowana przez prof. Zaccagniniego, ukaże się w najbliższym czasie. Jako następna część, przewidziana są „Legends Antonjańskie” w zestawieniu prof. R. Cessi.

PRZEGLĄD PRASY KATOLICKIEJ.

Marcowy „Przegląd Powszechny” daje na wstępie artykuł ks. J. Urbana „Technika a modlitwa”. Autor rozważa w nim zagadnienie: jaki powinien być stosunek człowieka wierzącego do techniki we wszelkich dziedzinach wytwórczości materialnej, oraz: czy postęp techniki i kultury materialnej nie czyni zbędną modlitwę, jak twierdzą ateści, przekonani, że człowiek nowoczesny może sam sobie poradzić we wszystkich trudnościach, byleby zastosował metody techniki. Zbijając te twierdzenia, autor dowodzi, że religja katolicka dostosowuje się do postępu materialnego pozytywnie, byleby on nie hamował, lecz dopomagał do postępu duchowego ludzkości. Modlitwa zaś jest po wy-czerpaniu środków materialnych jedyną ucieczką naszą do Boga, który wobec głębokiej wiary proszącego, może mu udzielić nawet łaski cudu.

Dalej Roman Dyboski w szkicu „Nauka a religja”, kreśli zarys historyczny stosunków między nauką świecką a myślą religijną od czasów najdawniejszych aż do chwili dzisiejszej, kładąc specjalny nacisk na obecne zbliżenie tych dwu tak ważnych dziedzin życia ludzkości.

Niemniej aktualne są „Rozważania prawnika nad pokojem i wojną” d-ra Adama Stawarskiego. Można tylko zarzucić autorowi, że zbyt jednostronnie traktuje wojnę, jako największe zło, trapiące ludzkość, zapominając o tem, że lepsza słuszna wojna, niż krzywdzący i niesprawiedliwy pokój i że wojna nie tylko niszczy narody, ale także i wyzwala je, np. wojna światowa 1914 r. Również trudno się zgodzić na utożsamienie przez autora zabijania na wojnie z prywatnym morderstwem — zemstą w czasie pokoju. Natomiast na podkreślenie zasługują myśli, dotyczące stworzenia tak silnych podstaw prawa międzynarodowego, że wszelka wojna zostałaby przez to uniemożliwiona.

Kwietniowy „Przegląd Powszechny” jest treści raczej społecznej i literackiej, niż religijnej. Najważniejszym artykułem będą tu uwagi prof. Woltera nad polskim kodeksem karnym z 1932 r., mające na celu wykazanie stosunku jego paragrafów do norm etyki katolickiej.

„Les Etudes” z 20 kwietnia dają ciekawy artykuł: „Wolność wychowania a rodzina” („La liberté d'éducation et la famille”). Autor jego, H. David, zdaje sprawę z nowoczesnych prądów pedagogicznych i reform programów szkolnych we Francji, które zdaniem jego, odbierają zupełnie rodzinie jej naturalne prawo wychowywania dzieci, oddając je pod przeważny wpływ wychowawczy państwa.

Jako środek obrony przeciw temu zamachowi, rzuca on hasło: otwierania oczu ślepym i łączenia się rodzin dla utrzymania swych praw. W „Biuletynie historii religijnej protestantów” Paweł Dudon charakteryzuje obecne tendencje protestantyzmu francuskiego, z których najsilniejszą jest pacyfizm. Daje też szkic sylwetki pastora Wagnera (zm. w 1912 r.), ciekawej postaci mistyka protestanta, skłaniającego się pod pewnymi względami do katolicyzmu.

Jako nowości, należy powitać z uznaniem w „Etudes” piękną i poważną nowelę André Cercamp p. t. „Esher-Castle”.

„La Vie Intellectuelle” z 10 kwietnia przynosi refleksje Christianusa nad „Grzechem anarchji” („Le péché d'anarchie”). Są to rozważania na temat środków przeciw kryzysowi ekonomicznemu, którego przyczyną jest, zdaniem autora, nieład w życiu ekonomicznym świata. Najważniejszym obecnym zadaniem narodów jest tak uporządkować stosunki gospodarcze, aby na przyszłość drugi podobny kryzys stał się niemożliwy.

Następnie Robert d'Harcourt w artykule „Zdrada radości” („La trahison de la joie”) zajmuje się problemem wyznaniowym w Niemczech, dowodząc, że tam, gdzie panuje protestantyzm, radość została wygnana, widać zaś ją tylko w okolicach katolickich. A więc granice wyznaniowe Niemiec tworzą także ich „mapę radości”.

Dalej pastor Kare Skredswik pisze o „Tendencjach katolickich w kościele szwedzkim” („Les tendances catholiques dans l'Eglise suédoise”), obrazując współczesne dążenia protestantów szwedzkich do połączenia się z Kościołem katolickim. Sam autor, mimo swej przynależności do wyznania luteranckiego, jest gorącym wielbicielem i prawdziwym wyznawcą katolicyzmu.

Wreszcie niezmiernie interesującą polemiką na temat pacyfizmu katolickiego jest „Proces Christianusa”. Tworzy go list otwarty Edwarda Jordan'a, prof. Sorbony, który występuje z zarzutami pod adresem tendencji pacyfistycznych Christianusa, zarzucając mu za małą znajomość historii i zbyt prostą psychologię, oraz odpowiedź tego ostatniego. Oba artykuły, choć różne poglądami, są bardzo ciekawe i pouczające. M. W.

KĄCIK DYSKUSYJNY.

REFLEKSJE TEATRALNE.

Rzecz naprawdę zdumiewająca. Z jednej strony zabięgliwa, nieustanna krzątająca jakichś ukrytych ludzi, postaci utajonych, a niestrudzonych w swej podstępnej robocie; jakichś istot, czy sił, które za wszelką cenę chcą nam splugawić ideały, chcą je błotem opryskać, by się nam wydały brudne i zaszargane; sił, co przy każdej sposobności, choć kroplę, jeżeli nie można więcej, ordynarnego, a szydliwego cynizmu, w samą twarz nam ciskają. Z drugiej strony obojętność, bierność, czy też załężniona jakaś nieśmiałość społeczeństwa.

Mam na myśli teatr. Każda niemal sztuka, tak, prawie każda sztuka bo wyjątki są nieliczne, parę scen lub chociaż zdań kilka poświęca, by wyśmiać religję, by życie religijne napiętnować, jako staromodne dziwactwo, przesad, godny człowieka nieoświeconego, mało ucywilizowanego, gdzieś z okresu Klodwiga, czy wojny stułetniej. W tym celu wystawia się karykatury ludzkie na scenie, przypina im się etykiety, umyślnie na ten cel wyszperane w starej rupieciarni parafialnej, lub na strychu domu organistówskiego, bo nawet nie plebanji i wtedy używa się co się zmieści. W istocie stwarza się typy ludzi, z religijnością nic nie mających wspólnego, prócz pozoru, ale widz przeciętny nie zastanawia się nad tem, z czego się śmieje i wkońcu jest przekonany, że wszelka religijność, nie pozorna — fałszywa, ale wszelka, godna jest śmiechu; tembardziej, że nie ukazuje mu się ludzi prawdziwie i na serio religijnych.

Przykłady: „Pierwsza sztuka Fanny” w teatrze Narodowym. Sztuka, tryskająca życiem, dowcipem, humorem.

Ale cóż z tego, kiedy ów dowcip tak jest kierowany i rzucony, aby jego ostrze, godząc w słabości ludzkie, za każdym razem uderzało w religijność. Co po humorze, który szydzi z człowieka za to, że się on ośmiela być katolikiem, za to, że śmie należeć do takich czy innych stowarzyszeń religijnych? Cóż po tem „życiu na scenie”, gdy cechą jego podstawową chęć używania, a działaniem wyśmiewanie ojców staruszków, zdzieciniałych, śmiesznych i właśnie religijnych po mieszczańsku, naiwnie.

Inteligentny widz zorientuje się łatwo, że ów świat młody, czyniący tyle hałasu na scenie, wygląda pociągająco w zestawieniu ze starym, że zyskuje sympatię nie dlatego, że po jego stronie jest prawda, lecz dlatego tylko, że jest młody, że jest beztroski, pełen werwy, pełen zapału nawet w psotach i wybrykach, no i wreszcie dlatego, że autor z nim sympatyzuje. Ale widz przeciętny, ogół publiczności, z jakim wyjdzie wrażeniem? Czy sobie uprzytomni, że w życiu, nie na scenie, ci młodzi z takimi założeniami i zasadami, po latach kilkudziesięciu, w starości, w tych samych warunkach i trudnościach co ich ojcowie, nie będą tylko — trochę śmieszni i zdziwaczali — ale może godni politowania i grubo niesmaczni? Czy to sobie publiczność uświadomi?

Inna sztuka: „Marjusz” w Polskim. Rzecz się rozgrywa w Marsylii, w dzielnicy portowej, życie jej jest tłem akcji, z niej pochodzą bohaterowie sztuki. Ludzie ci nie filozofują, nie prowadzą sporów o rzeczach zasadniczych, na sprawy religijne miejsca niema. Ale ba! czegoż nie dokona chcą?

Oto stary Flondra, niegdyś marynarz, obecnie włóczęga i pośmiewisko całej dzielnicy — warjat — żywi jedno tylko pragnienie: być marynarzem i podróżować po morzu. Gdy raz po nieudanej próbie dostania się na statek, doprowadzony do rozpaczki, modląc się mniej więcej w te słowa: „Najświętsza Panienko! spraw, ażeby noga moja choć raz jeszcze dotknęła pokładu okrętowego”, padają słowa Marjusza: „I ty myślisz, że ona ciebie wysłucha”? nawet — łaskawie — nie zabarwione ironją czy szyderstwem, tylko wypowiedziane tak sobie, niby przestroga, niby zapytanie starszego brata, który — „jest już duży” — z pobłażaniem patrzy na czyny młodszego braciśzka, głuptaska, ale sam już głupstw nie popełnia. Chociaż tyle, choć zdanie jedno dla przypodobania się postępowcom-snobom z wszelkiego rodzaju stowarzyszeń bezbożnych, czy masonskich, choć parę słóweczek dla zyskania przychylności reformatów i uzdrowicieli życia z za wschodniej granicy.

A teraz druga strona medalu. Chodzą na te przedstawienia tysiące ludzi, chodzą setki czujących się naprawdę katolikami, których to winno obchodzić choć trochę, chodzimy wreszcie my, których to dotyka do żywego, ale sprzeciwu niema. W teatrze bra-

wa, poza teatrem słyszy się zdania różne, jedni chwala, inni gania półgębkiem, a jeszcze inni milczą, choć czują się trochę urażeni. Ale niema zdecydowanej postawy, brak zwartej gromady, któraby stanowczo zażądała: „paskudztwa usunąć”, brak opinii dość silnej, aby jej słowo jedno mogło zaważyć na szali, brak ludzi, którzyby nie pozwolili na przemycanie plugawstwa w fałdach płaszcza Pani Sztuki. Jarosław Zaleski.

WIADOMOŚCI Z ZAKOPANEGO.

Przy Zakopiańskiej Lidze Katolickiej zawiązało się w lipcu r. ub. Koło Studjów Katolickich, pod wezwaniem św. Tomasza z Akwinu. Koło przejęło juwentusowe metody pracy nad poznaniem nauki Kościoła, a zwłaszcza Ewangelji (w swoim czasie pisa- liśmy o tem).

Obecnie z inicjatywy kol. dr. J. Zienkiewiczówny powstało podobne Koło w pobliskim Kościelisku. Koło stanęło od razu na pewnym gruncie, zarówno pod względem ideowym, jak i organizacyjnym, czego dowodem choćby niezmiernie interesujący cykl referatów, zawarty w programie tegorocznej pracy. Tak szybki rozwój Koła zawdzięcza w dużej mierze swemu Kierownikowi, ks. proboszczowi kanonikowi Humpoli. Równocześnie ruch katolicki w parafii kościeliskiej ogarnia wszystkich, począwszy od organizacyj dla dzieci, a skończywszy na starszych.

Otóż z tego ośrodka, tętniącego inicjatywą katolicką i entuzjastycznie usposobionego do idei juwentusowej, otrzymujemy szereg pomysłów, które winny wzbudzić zainteresowanie w Związku Seniorów i w całym Iuventus.

O cóż chodzi? — juwentusiacy muszą mieć swoje „gniazdo” w Tatrach. Kościelisko, które organizuje się od podstaw po katolicku, a także i ze względu na swe położenie, specjalnie nadaje się do tego. W tym roku na początek należy zebrać grupę juwentusiaków, a zwłaszcza seniorów, chcących poznać Tatry, czy też odpocząć w idealnych warunkach klimatycznych. Można by także połączyć pobyt w górach z kursem dla przyszłych założycieli kół studjów wśród starszego społeczeństwa. Jesteśmy pewni, że myśl znajdzie entuzjastów. Osoby, chcące wziąć udział w tem przedsięwzięciu, winny porozumieć się ze Związkiem Seniorów (Warszawa, ul. Jakubowska 14 m. 1, telefon 10-24-35, godz. 3.30 — 5 pp.).

A teraz ku rozwadze Kół Studjów Katolickich: ilość takich kół, pracujących metodą juwentusową, rośnie — należałoby zatem pomyśleć o Związku lub przynajmniej nawiązaniu kontaktu.

Wreszcie prośba. W Kościelisku powstaje przychodnia lekarska dla wsi. Kto posiada, czy też może dostać próbki leków lub przyrządy medyczne, niech je tam wyśle. Również potrzebne są książki do biblioteki parafialnej dla inteligencji, i dla ludu. Ci z juwentusiaków, którzy nie przyczyniają się bezpośrednio do rozwoju myśli katolickiej wśród społeczeństwa, winni przynajmniej pomóc tym, co pracują w pierwszej linii. Porozumieć się lub wysłać pod adresem: dr. J. Zienkiewiczówna, Zakopane — Kościelisko, Sanatorium Wojskowe.

KOMUNIKATY ZWIĄZKU SENIORÓW.

Dnia 2.IV. b. r. odbyło się zwykle miesięczne zebranie Związku Seniorów, na którym kol. Wł. Bogatkiewicz wygłosił referat p. t. „Myśli młodego nauczyciela o młodzieży dzisiejszej”. Referent ujął temat z punktu widzenia własnej praktyki w szkole średniej. Wychodząc z teoretycznej definicji wychowania, jako świadomego oddziaływania na młodzież dla osiągnięcia pewnych, z góry określonych celów, — przedstawił referent warunki, w jakich się odbywa wychowanie młodzieży szkół średnich. Przechodząc dalej do charakterystyki młodzieży dzisiejszej, referent poruszył bardzo ważną sprawę t. zw. wychowalności, czyli granic podatności na oddziaływanie wychowawcze. Religijny pogląd na świat, wiara w skuteczność wysiłku w dobrej sprawie, powinna chronić nauczyciela od zniechęcenia w pracy wychowawczej, pełnej tylu przeszkód i trudności. Na zakończenie referent podkreślił obowiązek oddziaływania wychowawczego na młodzież, ciążyący na całym społeczeństwie. Żywno dyskusja poruszyła dużo zagadnień, związanych z referatem; gorąco omawiana była sprawa oddziaływania wychowawczego na młodzież akademicką.

Na następnym zebraniu, w dniu 7 maja, kol. Br. Lisowski referował jedną z ostatnich książek Papini'ego p. t.: „Gog”, której pojawienie się wywołało pogłoskę o ponownej renegeacji jej autora. Referent w toku przemówienia udowodnił, że nietylko nie może

być mowy o odstępstwie, ale że Papini w książce tej bardzo silnie akcentuje swoje własnie katolickie stanowisko. Przez doprowadzenie do absurdu materialistycznego światopoglądu Goga — tem samem obala go (zresztą już uprzednio w przedmowie zastrzegł się autor wyraźnie, że poglądy Goga nie są jego poglądami). Książka Papini'ego wykazuje potrzebę rewizji tego światopoglądu, którego Gog jest symbolem, a który jest wykwitem naszej współczesnej cywilizacji; ostatni rozdział p. t.: „Chleb dziewczynki”, wyraźnie wykazuje bankructwo Goga — materialisty i jest stwierdzeniem pozytywnem stanowiska autora. W

Na zakończenie, referent przeprowadził rekonstrukcję światopoglądu autora, zawarł go w Gogu, przy pomocy książki ks. Pastuszki p. t.: „Kryzys kultury a religja”, a raczej tych jej rozdziałów, które poruszają podobne zagadnienia.

W czerwcu, wobec tego, że w pierwszą niedzielę miesiąca wypada dzień Zesłania Ducha Św., zwykłego zebrania Związku nie będzie, natomiast wszyscy seniorzy proszeni są o wzięcie udziału w święcie organizacyjnem Iuventus Christiana.

S. K. A. „IUVENTUS CHRISTIANA”

Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Iuventus Christiana” w Warszawie, Poznaniu i Wilnie, narodziło się 12 lat temu na terenie akademickim, jako wyraz zewnętrzny przekonania, że katolicyzm, o ile ma stać się zasadą życia zarówno indywidualnego, jak i zbiorowego, musi być porządnie, głęboko przemyślany i przeżyty. Inteligentny katolik musi znać dogmaty, etykę, liturgję i historję wiary, którą wyznaje, aby ją mógł wcielać w czyn, bronić przed atakami wrogów krzyża i zdobywać dla niej wyznawców (apostolstwo czynu).

Nie wystarczy jednak myśleć po katolicku, t. zn. oceniać człowieka i świat według ich natury i celu, ale trzeba żyć po katolicku. Dlatego w „Iuventus” zbieramy się nie tylko po to, aby poznać katolicyzm do gruntu, ale i po to, aby się nawzajem doskonalić i w dobrem umacniać. Wszyscy jesteśmy młodzieżą akademicką, wszyscy mamy te same trudności wewnętrzne i zewnętrzne, wszyscy więc wspólnie je nawiązujemy, zastanawiając się, co robić? i jak robić?, aby się stać lepszym. Wartości zdobytych nie chowamy pod korcem, ale przygotowujemy się do rozdawania ich w dalszem po-akademickim życiu, a więc w życiu rodzinnem i zawodowem.

Szczera, koleżeńska atmosfera, wspólna raz w roku obowiązkowa spowiedź i Komunja św., wspólny udział w życiu liturgicznem Kościoła, mała ilość członków (najw. 20) w podstawowej komórce organizacyjnej — kole (jest ich w Warszawie 14), ułatwiająca pracę umysłową i życie się członków — wszystko to sprawia, że czujemy się jedną, Chrystusową rodziną.

Z drugiej strony koedukacja daje nam wszechstronne oświetlenie każdego zagadnienia i praktykę właściwego odnoszenia się płci jednej do drugiej.

Część pierwszą naszych zebrań pochłaniają rozważania nad Ewangelią, w niej mamy bowiem źródło wiary naszej, i z niej, z osoby Chrystusa Pana, czerpiemy siłę do pracy nad sobą. Druga — to ocenianie człowieka i współczesnego świata według zasad nauki Chrystusa przez referaty filozoficzne, społeczne, liturgiczne, historyczne, wychowawcze i t. p.

Tak zorganizowani, idziemy do walki o lepszą (bo katolicką, a nie żydowsko-masońską) Polskę, i wszystkich chętnych słuchaczy (część) wyższych uczelni do tej pracy zapraszamy. C.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. KOSZYKOWA 11, M. 20

TELEFON 603-77

Czynne w poniedziałki od godz. 18 do 19.

CENA POJEDYNCZEGO NUMERU 30 GR.

PRENUMERATA ROCZNA 3 ZŁ.

KCANTO P. K. O. 24.488.

Sprzedaż numerów bieżących i dawnych — na dyżurach Redakcji.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.